

Wojciech Stanisławski: Nie-ludzkie jajo

Wolny od obowiązku przyrządzania omletów politycznych, broniłbym jaja na wielu forach, gdyby nie wyjątkowo fatalna passa władz Warszawy w ciągu ostatnich kilku dni – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

O tym, że drozdy leśne piękniej śpiewają niż śpiewak płatny na chórach nucił każdy, kto przez błotnisty stok Magury czy innego Gronia doczłapał na nocleg do schroniska i zasiadł przy piecu, nareszcie w suchych skarpetach. Ale żaden chór drozdów nie mógłby być głośniejszy niż recenzenci i komentatorzy, którzy pospieszyli obstukiwać rzeźbę Joanny Rajkowskiej, postawioną w piątek, 12 maja w centrum Warszawy i staraniem jej władz: oczopląśnie błękitne, dwumetrowe, czarno nakrapiane jajo drozda, z którego wnętrza, gdy przyłożyć ucho do skorupki, słyhać dźwięki, wydawane przez wykluwające się pisklę: jego bicie serca, walenie dziobem w skorupkę, pierwsze, zachrypnięte jeszcze przymiarki do miodopłynnego *thit thit*.

Nie przekonał mnie chór krytyków, nie tylko dlatego, że wiem, ile młode drozdy mają naturalnych wrogów, od kotów po sójki. Przede wszystkim dlatego, że wydziwianie „ależ wymyślili, panie, jajo, i to ma być POMNIK” wydaje mi się mocno januszowate: oczywiście, Warszawa jest duża, pomieści jeszcze i sto figur w stylu „bardzo realistyczny odlew w brązie postaci zasłużonego polityka w dwurzędowym garniturze”, ale naprawdę, nie jest to jedyny możliwy pomysł na rzeźbę

w przestrzeni publicznej. Zaś lamentey „ćwierć miliona na jakieś jajo”, choć mają w stolicy długą tradycję („Sto tysięcy na pomnik!”) wydają mi się niezmiennie demagogiczne, czy padają w kularach Sejmu Wielkiego, czy drukowane są w tabloidach. Oczywiście, mogę się mylić, branża tak niszowa, jak produkcja nadziewanych elektroniką akrylowych jaj o objętości blisko 10 m³ zazdrośnie strzeże swoich sekretów: niewykluczone, że u konkurencji jajo np. raniuszka (*Aegithalos exilis*), nieznacznie tylko mniejsze, można by utargować i za 200 tysięcy. Generalnie jednak kwota ćwierć miliona za interaktywną rzeźbę, uwzględniająca koszt honorarium, wykonania, ubezpieczeń i konserwacji, nie jest chyba jakoś przesadnie wygórowana, nie bardziej w każdym razie niż instalowanych ubiegłej jesieni ławeczek. Myślę, że zadziałał po prostu niezawodny mechanizm bojowy *friend or foe*: skoro to wróg, trzeba rozdziobać wszystko, co robi.

Chętnie wdałbym się w polemiczne harce w obronie drożdżiego jaja, mimo, że plac, na którym je posadowiono, nie podoba mi się straszliwie, a inwestor też umiarkowanie. Podoba mi się nowy pomysł na pomnik, podoba mi się interaktywność, która może wciągnąć małych - a nawet dużych, jeśli tylko nie przełamia wstyd przed niepoważnym przyłożeniem ucha do skorupy. Podoba mi się przede wszystkim otwieranie się na przyrodę, wskazywanie innych stworzeń istniejących obok nas.

(Inna rzecz, że z tą afirmacją innych stworzeń też nie należy się zagalopowywać: przemawiająca podczas ceremonii odsłonięcia jaja pani wiceprezydent Warszawy, Aldona Machnowska, dała wyraz tyleż znajomości prozy Olgi Tokarczuk i filozofów takich jak Timothy Morton, co zbyt niemu może zaufaniu do autokorekty w edytorze

tekstów. By przytoczyć tylko fragment jej wystąpienia, „[ta rzeźba] mówi też o nieludzkich mieszkańcach Warszawy. To pisklę mówi o pewnej naszej wrażliwości, chęci o tym, żeby mówić, że nieludscy mieszkańcy Warszawy też są wokół nas”. Owszem, nieludzkich mieszkańców Warszawa miała trochę, zarówno za czasów stacjonowania w niej SS, jak pomieszkiwania funkcjonariuszy Informacji Wojskowej, ale w przypadku drozdów użycie dywizu i określenie ich mianem „nie-ludzkich” zupełnie by wystarczyło).

Wolny od obowiązku przyrządzania omletów politycznych, broniłbym jaja na wielu forach, gdyby nie wyjątkowo fatalna passa władz Warszawy w ciągu ostatnich kilku dni. Najpierw nieszczęsne ursynowskie „Lapidarium”, a właściwie tabliczka o tym brzmieniu zdobiąca kupę gruzu z czasów wznoszenia południowej sypialni Warszawy. Potem zaś plakat, zaprojektowany na tegoroczną Noc Muzeów, na którym Pałac Kultury i Nauki zamienił się na poły w latarnię morską, na poły w Panoptykon: umieszczone na nim dwa ogromne reflektory przeświełają miasto na wylot.

Naprawdę, byłem przekonany, że doczekam końca kadencji pani Oli Jasionowskiej, dyrektor artystycznej w Urzędzie Miasta Stołecznego Warszawy, w żaden sposób nie odnosząc się już do jej dokonań. Owszem, nader cierpko skwitowałem plakat jej autorstwa, którym oklejono przed trzema laty Warszawę na Boże Narodzenie, ale z kolei plakat ubiegłoroczny, ten z zapisem fragmentów kolęd w różnych językach, był naprawdę sympatyczny. Ma pani Ola swoją dobrze rozpoznawalną kreskę (a to zawsze świadczy dobrze o artystce), ma swój antropofobiczny pomysł na rysowanie wyludnionych niemal przestrzeni miejskich, ma swoje zaangażowania, którym dała wyraz, tworząc identyfikację graficzną dla Strajku Kobiet. I z tym wszystkim

można by liczyć na fajne plakaty z jej ręki, również na Noc Muzeów. I nawet PKiN, mimo swego niesławnego rodowodu, stanowi część warszawskiego *skyline'u* i nie jestem za tym, by go stamtąd wygumkować.

Na to wszystko zgoda: jednak dwie strugi oślepiającego światła, bijące z galerii pałacu, wzniesionego nie tak dawno na chwałę Stalina to trochę za dużo, szczególnie biorąc pod uwagę, że w trakcie Nocy Muzeów zwiedzane jest również Muzeum Powstania Warszawskiego, Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, Muzeum Katyńskie czy Muzeum Historii Polski. Pokazywani w nich bohaterowie nieraz doświadczali podobnie jaskrawej strugi światła, skierowanej ze stojącej na biurku lampki – i nie jest to chyba, sądząc z wielu komentarzy, skojarzenie zbyt hermetyczne.

Oczywiście, każdą z wyżej opisanych sytuacji można wytłumaczyć. Betonowe gruzowisko na Ursynowie to może być naprawdę pomysł na reinterpretację i rozszerzenie terminu „lapidarium”, dotąd zarezerwowanego dla okruchów marmurowych nosów, palców i inskrypcji. Pani Ola może naprawdę nie mieć żadnych złych skojarzeń z Pałacem Kultury i Nauki i chętnie obsadza go w roli latarni morskiej, prowadzącej wędrowców przez Noc Muzeów, a zarazem – w roli Latarni Postępu. A błękitne jajo może być naprawdę wyłącznie niebanalnym pomysłem na pamiątkę o skrzydlatych mieszkańcach Warszawy.

Kiedy jednak te trzy inicjatywy artystyczne mają miejsce w ciągu kilku dni, mam wrażenie, że Urząd M. St. Warszawy albo ma wyjątkowo złą passę PR-ową – albo przeciwnie: triumfalnie rozkłada skrzydła do lotu, myśląc o tym, jak jeszcze bardziej wkurzyć wszystkich tych

mieszkańców bardziej tradycyjnych, przywiązanych do idei muzeów zwiedzanych wyłącznie w filcowych kapciach, pomników, u stóp których z uszanowaniem składa się kwiaty, ptaszków, które dokarmia się w balkonowych karmnikach i lapidariów, w których można popisać się przed wnukami znajomością łaciny lub chociaż liczb rzymskich. „Nie zagłosowali na nas? To pokażemy im sztukę współczesną, aż się zapienią”.

Doprawdy, być nowoczesnym i jednocześnie niezłośliwym to, jak się okazuje, piekielnie trudne zadanie.

Wojciech Stanisławski

Przeczytaj inne felietony z cyklu „Barwy kampanii”

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
